№ 4. Piątek, dnia 23 Października 1874 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 11 (23) października 1874 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
" " na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY
Sierpień—Wrzesień 1874 r.

K. Wł. Wójcickiego.

(*Dalszy ciąg.*)

„Nie mamy się już czego łudzić—społeczeństwo nietylko w innych krajach ale i wśród nas samych przebywa obecnie pod względem religijnym ciężkie przesilenie.

„Nietylko w świecie katolickim, ale we wszystkich innych kościołach chrześcijańskich, coraz otwarciej, coraz jawniej, występuje przecząca niewiara, co-więcej nawet, wśród żydów tak zwana oświata, a wrzekoma cywilizacya, wylęgła odstępstwo od pradziadowej, poważnej Mojżeszowej wiary.

„Przyznajmy, że to co było jeszcze za przeszłego pokolenia nietykalnem, świętem, stało się dziś obcem, obojętnem dla wielu serc ludzkich. W tem opustoszałem sercu—dziś ciemno, głucho—mroźno. Dawniejszy *sceptycyzm* jeszcze sią kryjący, a *indyferentyzm* chłodny już w obecnym czasie, stał się zaczepnym wszelkiej wiary wrogiem.

„To usposobienie bezreligijne już wydaje zatrute owoce. Umysły najczęściej nieopatrzne, a takich są liczne tłumy, przełamawszy zapory swojej religii, rzucają się na oślep w nocne otchłanie ostatecznej *negacyi*. Zaprzeczywszy naukę wiary, przeczą istnieniu Boga! Brak wyznania stał się u nich zwątpieniem o istnieniu samego Boga, a nawet wprost wyznaniem, że Boga nie ma: ich wyznaniem jest bezbożeństwo, *ateizm*. Człowiek tak zwany: *bezwyznaniowy*, zrywa z kościołem, na którego łonie się zrodził, człowiek ateista zrywa ze społecznością jestestw rozumnych, zrywa z godnością ludzkiej istoty, zrzeka się wysokiego znaczenia człowieka, i spada poniżej zwierząt.

„Zaiste, przekonanie, że istnieje Bóg i przekonanie o trwaniu duszy naszej po śmierci ciała, najściślej ze sobą się wiążą. Kto nie przypuszcza bytności wiekuistego Boga, nie może przypuszczać, że duch ludzki po skonaniu ciała żyć może wiecznym żywotem, ateizm, jest przeto ostatnim słowem negacyi, jest upiorem wysysającym krew duchową ludzkiego społeczeństwa.

„Zapawdę—nie mamy się czego łudzić: ateizm napoczął społeczeństwo Europy, wżera się rakiem coraz głębiej w umysły wszystkich warstw, przemawia coraz butniejszym zuchwalstwem wśród ludzi. W obec niego bytność Boga—jest czczem marzeniem, a gdy się odezwiesz o nieśmiertelności ducha ludzkiego, nazwie cię litośnie zabobonnym prostaczkiem i strzeli jadowitym sarkazmem.

„Nikt nie zaprzeczy, że takie jest po większej części usposobienie świata. Lepiej uznać *fakt* choćby najsmutniejszy, lepiej zajrzeć śmiało w oczy potęgom wrogim i zażegnać *złe*, niż zwodząc siebie, wmawiać w siebie i w innych, że *złego* niema. Z tem usposobieniem przeczącem, trzeba nam stanąć do otwartej walki, do walki na życie i śmierć! Oświadczam jawnie, że to usposobienie zaprzeczające bytności Boga, to zaprzeczenie trwania ducha ludzkiego po śmierci ciała, zniewoliło mnie głównie do niniejszej rozprawy mojej.

„Z radością serca wyznaję, że te objawy niewiary a zwłaszcza bezbożeństwa, bywają w naszym kraju mniej groźne, mniej jaskrawe. Być może, że nas jeszcze broni od tej śmiertelnej choroby nasze usposobienie ciepłe, uczuciowe, serdeczne, co mimowolnie wzdryga się w obec tej czczości a próżni w duszy, być też może iż w nas przebywa głęboki, ostrzegający instynkt, wróżący nam, jako dla naszego społeczeństwa, tak rozbitego, tak schorzałego, bezreligijność, a ateizm, byłyby samobójczym ciosem, a ze wszystkich ciosów, już nam zadanych, już ostatnim, śmiertelnym.

„Lubo atoli przyznaję, że ta dążność negacyjna zatruwająca ludy spółczesne, u nas dopiero łagodniej, wstydliwiej niż w innych krajach daje się w znaki; przecież nie sądźmy zlekka tych pojawów, stójmy na straży ojczystego domu, pomyślmy póki jeszcze czas o obronie jego. Zaiste, jedno i to samo *zło*, choć w dwojakiem przybraniu, choć w dwojakim kształcie z dwóch odwrotnych świata stron, niby do dwóch wrót, dobywa się do rodzinnej zagrody naszej. Nie dziw przeto, że wśród nas, każdemu uczciwemu a myślącemu człowiekowi, przewidującemu tę walkę, ciężko na sercu, że mu w tej atmosferze dusznéj brak swobodnego, wolnego oddechu. Bo każdy myślący, i uczciwy człowiek, przekonany jest o tem wysokiem, żywotnem znaczeniu uczuć religijnych.

„Są ludzie zacni a mądrzy, którzy widząc tę powódź negacyi zalewającą obecnie Europę, nie tracą nadziei w lepszą przyszłość świata. Oni ufają tej Opatrzności wiekuistej, co jest logiką wszechrzeczy, wodzącą ludzkość przez wieki wieków: ani nie wątpią, jako ta dążność negacyjna, jest tylko przemijającą zarazą, z której się ludy, wyleczą, wyzdrowieją; oni stoją przy tem niezłomnem przekonaniu, że w ludzkich dziejach, jedynie *zło* a *kłam* przepada, ale że *prawda*, jest wszechmocnej potęgi, więc ona przemoże złe demony nurtujące społeczeństwo, ci ludzie sami wiedzą, że prawda nie przepada nigdy, bo lubo się niekiedy wydaje, jakoby umarła i była pogrzebana, jednak ta prawda kiedyś wstanie zmartwych, a w postaci nowej choć przerodzonej ale odrodzonej, a promiennej, wzniesie się znowu z tryumfem, i zapanuje nad światem.

„Mężowie tego przekonania mają pełną słuszność za sobą. Jednak *prawda*, którą oni wyznają, choć niewywrotna, niewątpliwa, przecież nie zdoła ukrócić w zupełności naszych obaw bolesnych, o naszę własną dolę. Historya gospodarzy na wielką stopę, w obliczu jej liczne pokolenia i wieki całe, są drobnostką zdawkową, nie mającą znaczenia, gdy chodzi o przeprowadzenie żywotnej idei, o ziszczenie jednej z wielkich, wiekuistych prawd w dziejach ludzkiego rodu. Lubo my wierzymy, że świat kiedyś wydobrzeje i wyleczy się z tej negacyi zgubnej, i że żywioły dodatnie, zbawcze, stanąwszy na ich miejscu, znów obejmą rządy w sercach ludzkich, jednak przewidujemy niestety, z równą pewnością, iż zanim się spełnią te nasze nadzieje, zanim nastąpi ten pożądany zwrót, jeszcze ciężkie próby, a straszne gromy spadną na państwa i narody.

„Otóż jest temu blisko lat dwieście, gdy

Leibnitz, największy geniusz swojego czasu, jakby w jasnowidzeniu ducha, wypowiedział te prorocze słowa, jako: *zdania przeczące bytności Boga i przeczące nieśmiertelności duszy człowieka, zgotują Europie straszne powszechne wywroty.*

„Zdarzenia ostatnich czasów, świeże, przerażające świat, stwierdzają wróżbę wielkiego człowieka. Naród potężny, świetny, negacyą tych prawd od wieku go toczącą, przypłacił wybuchem szalonym, potwornym, gruchoczącym społeczeństwo i wielowiekową sławę, wybuchem stokroć okropniejszym i sromotniejszym niż wszystkie tak liczne klęski w nieszczęśliwej wojnie poniesione.

„Strachy nas przejmują, gdy pomyślimy o naszem rodzinnem społeczeństwie. Pytamy, czyliby ono zdołało przetrzymać tę grożącą mu chorobę negacyi. Czylibyśmy mogli ją przebyć szczęśliwie? i wraz z innemi ludami doczekać się, owego spodziewanego zbawiennego zwrotu?

„Dzieje powszechne świata nas uczą, że każdy naród tylko tak długo żyje, dopóki mu nie zabraknie treści duchowej, dopóki w duszy jego nie zagaśnie Bóg. Wiedza o Bogu jest duszą duszy naszej, gdy ta wiedza zamrze, umiera naród, bo mu już nie starczy wątku żywota, bo nie ma Boga w sercu.

„Z tej prawdy wypływa druga, to jest prawda, że im naród głębiej przeniknięty jest religią, tym jest znakomitszym. Historya świadczy, że właśnie te narody, które najwyżej wzniosły się w dziejach, były narodami najwięcej religijnemi. Jakoż, głębokie uczucia religijne wzmagają, potęgują jeszcze treść przyrodzoną narodu, tę treść, którą on żyje, która jest wątkiem jego historycznego rozwoju."

Kremer przestał czytać, a odetchnąwszy chwilkę mówił:

— Dalej stawiam za wzór starożytną Grecyą, bo Grecya tak promieniejąca w historyi świata, płonęła głębokiem religijnem uczuciem. Nie mówmy już o tem, jako żywot polityczny, narodowy, historyczny Greków, wiązał się z uroczystością obrzędów religijnych, ale zwróćmy uwagę na najszlachetniejszy objaw tych religijnych uczuć, bo na artyzm grecki. Nie możemy twierdzić, że ich artyzm wypłynął wyłącznie z religijności samej ale ona stanowiła przeważny czynnik, w usposobieniu estetycznem tego ludu. Bez tej gorącej pobożności, sztuka i poezya grecka, nie byłaby zapłonęła tą światłością, tą właściwą jej cechą, która ją czyni do dziś dnia wzorem a podziwieniem na świat cały. Grecya, wyobrażała swoich bogów jako jestestwa duchowe, ale odziane ciałem. To ciało materyalne, będąc wiekuistości przezroczem, stało się jakoby niebieskiem widziadłem, otulone idealną pięknością. Mistrz grecki, rozwijał skrzydła religijnego uniesienia i w zachwycie natchniony wznosił się ku niebu, a na wysokościach Olimpijskich, oczyma ducha, obaczył wiekuistych bogów. Tak te ideały piękności łączą się ściśle z religijnem namaszczeniem mistrzów greckich. Myśli te, znajdziesz obszerniej rozwinięte w mojej książce: *Grecya starożytna i jej sztuka*, którą wydał Żupański w Poznaniu 1868 r. jako też i w różnych miejscach dzieła mego: *Podróż do Włoch*, drukowanego u Zawadzkiego w Wilnie. Dużo czytałem, długo myślałem, zanim powziąłem stałą myśl pracy około tego dzieła — ale uważam je za mój ostatni testament, na którym skończę zawód mój pisarski. Sądzę, że dobrze taką książką żywot literacki zamknę. Patrz, tu są moje gotowe notaty, które wejdą przy ostatniej redakcyi w tę całość: tu masz ciekawy spis różnych miejsc z dzieł Woltera, w których ten okrzyczany ateista, ten przeklęty bezbożnik, w gorących słowach przemawia o istnieniu Boga, i co dziwniejsza, obelżywych, grubiańskich słów i wyrażeń używa przeciw tym, którzy jego zaprzeczają istnieniu.

Zażywszy tabaki pogładził się po czole i zapytał mnie:

— Powiedz mi szczerze, czy jasno się tłómaczę z moich myśli — czy nie masz nic do zarzucenia językowi i stylowi?

Roześmiałem się na to zapytanie jego, i z całą szczerością wypowiedziałem moje zdanie, że jest i będzie wzorem dla piszących po polsku.

— Ja się tego języka mój drogi uczyłem na *Skardze* i innych pisarzach zygmuntowskiej epoki, a że się dosyć jasno tłómaczę, w rzeczach nawet więcej trudnych muszę ci opowiedzieć ciekawe zdarzenie: *(d. c. n.)*

KOŁYSKA

Komedya w jednym akcie, wierszem,

MICHAŁA CARRÉ i JULIUSZA BARBIER.

Przełożył z francuskiego

BRONISŁAW PRZYREMBEL.

(Dokończenie)

SCENA CZWARTA.

Teresa (sama)

Chce bym spała!.. oh! właśniem spać usposo-
[biona!
Łez moich nie zobaczy, jęk na ustach skona,
I skarżyć się nie będę... Nie!.. ja będę śmiała
Chcę...

(Kładzie rękę na sercu)

Jak mnie serce boli!... ściska się... i pała
Gniewem!

(Płacze)

Lecz czegóż płaczę!... wszakże to daremno

(Po chwili)

Nie kocha mnie więc niechaj rozłączy się ze mną;
Poco razem żyć dłużej; toć jest nato rada,
Na zawsze nam się rozstać ze sobą wypada!
Jutro zabiorę syna i pójdę w rozpaczy
Daleko — tak, że Gaston już nas nie zobaczy!

(Pada na fotel)

Więc już wszystko skończone?—Jeszcze przed
[godziną
Śmiać się miałam ochotę, a teraz łzy płyną!
Ah! bo mimo mej woli, mimo opuszczenia,
Niegodne serce drżało chęcią przebaczenia,
Bo zwodnicze nadzieje łudziły tak mile,
Bom nie śmiała dać wiary w nienawiści tyle,
Bo dotąd kocham może...

(Wstaje i postępuje kilka kroków)

Co? kochać go jeszcze!
Oh nie!.. teraz nienawiść w sercu mojem pieszczę
Pragnę iść jego śladem, działać jak on działa:

U OGNISKA.

W drugim numerze naszego pisma uczyniliśmy krótką wzmiankę o potrzebie założenia u nas *sali licytacyjnej*, i powtórzyliśmy pogłoskę, że podobno myśl ta została już podniesioną przez kilku tutejszych kapitalistów i przemysłowców. Dziś, po zasięgnięciu bliższych objaśnień wprost u źródła, możemy donieść czytelnikom naszym, że projekt został już przygotowany i oczekuje tylko na zatwierdzenie ze strony władzy. Panowie założyciele, kierowani nietylko chęcią zysku, ale przedewszystkiem dobrze zrozumianą filantropią, projekt swój oparli na podstawach rzeczywiście racyonalnych i dlatego, napewno prawie wróżyć im można powodzenie, którego im z serca życzymy. Że zaś nie każdemu są znane szczegóły zawarte w projekcie sali licytacyjnej, przeto podajemy je tutaj w streszczeniu. Sala licytacyjna podejmować się będzie przedaży przedmiotów wszelkiego rodzaju i wartości, dostarczonych przez kupców pragnących zbyć swój towar lub też przez osoby prywatne; dalej, przedmiotów zajętych przez komorników w drodze egzekucyi sądowej; ruchomości pochodzących ze spadków; przedmiotów składających masy upadłości; wreszcie kosztowności zastawionych w lombardach, gdyby właściciel chciał je wykupić i przedać. Licytacya odbywać się będzie codziennie od 2-ej do 7-ej godziny po południu — przyjmowanie przedmiotów do przedaży oraz wszelkie obrachunki ze stronami mają się uskuteczniać codziennie od godziny 9-ej zrana do 12-ej w południe. Każdy przedmiot, przy złożeniu go przez właściciela, oszacowany będzie przez taksatora i od wykrytej tym sposobem wartości, przedający opłaci asekuracyą i składowe w stosunku dwa od sta. Przedmioty nie przedane w ciągu miesiąca od ich złożenia, zwracają się właścicielowi, przyczem asekuracya i składowe nie ulegają zwrotowi. Wynagrodzenie, jakie sala licytacyjna pobierać będzie od właścicieli po przedaży dostarczonych przez nich przedmiotów, dotąd, o ile nam wiadomo, stanowczo oznaczonem nie zostało, słyszeliśmy jednak, że pobierany będzie powien umiarkowany procent, którego stopa będzie się zniżać w miarę wzrastania sum przy przedaży otrzymanych. I tak najwyższy procent strącać się ma od sum nie przechodzących rubli 30; niższy już od rs. 30 do 60; jeszcze niższy od 60 do 100 i t. d. Kończąc tę wzmiankę, wypada nam raz jeszcze w interesie ogółu, życzyć przedsiębiercom i założycielom sali licytacyjnej, iżby swój projekt, godny jak najgorętszego poparcia ze strony ludzi rozumiejących interesy niższych i średnich

(Wyjmuje bilecik z za stanika)
Do zemsty się sposobność zdarza doskonała:
Pan Champrosé mnie kocha, to listu osnowa...
(Siada i zabiera się do pisania)
By go u nóg mych widzieć dość jednego słowa.
(Rzuca pióro, zostawia bilecik na stole)
Nieszczęsna! co ja czynię! to słowo bezcześci,
To słowo - by mój honor splamiło niewieści!
(Wstaje)
Dlaczego cię tu nie ma synu mój! Dlaczego
Nie otaczasz mnie teraz spokojem snu twego?
W przeciwnościach, co serce głęboko zraniły
Dodawałbyś mi wiary, odwagi i siły!
Chcę chociaż śnić o tobie!...
(Idzie spiesznie ku alkowie i odsłania firankę. Przy łóżku widać kołyskę nakrytą muślinem).
Dziecię!...
(Nachyla się nad kołyską)
Oh! mój Boże!
Tak! tak! dziecię jedyne! — syn mój... czy być [może!
Ah!.. to wuj ukochany znowu mnie nim darzy!
(Ciszej)
Chciałabym pocałunkiem dotknąć jego twarzy,
Lecz mój oddech go zbudzi! Oh! droga pociecha,
Rzekłbyś, że się i we śnie do matki uśmiecha.
Dzień dobry mój Juleczku!.. dziecina kochana!
A jeśli mnie nie pozna gdy się zbudzi zrana,
Jeżeli mnie odepchnie!... Próżna trwoga o to,
Zaraz przy przebudzeniu ujmę go pieszczotą,
I miłością, dla siebie wzbudzę miłość nową!
(Nachyla się nad kołyską. Gaston inaczej ubrany, ukazuje się na progu).

SCENA PIĄTA.

Gaston — Teresa.

Gaston.

Nie śpisz?
(Zbliża się do kominka)
Teresa (na stronie)
Gaston!
(Szybko zasłania kołyskę firanką)
Ah! to ty!
Gaston.
Ja sam, daję słowo!
Czym się nadto pospieszył? Skąd to pomięszanie,
Kroku naprzód postąpić nie byłabyś w stanie.
Teresa.
Nie słyszałam gdy wszedłeś.
Gaston (półgłosem)
Dziwny powód trwogi!
(Wyjmuje z kieszeni dziennik i rozkłada go)
Teresa (na stronie)
Czy mu wyznać?... nie jeszcze.
(Zwraca się ku alkowie)
Aniele mój drogi!
Ojciec mógłby cię przyjąć z obliczem surowem,
I całe moje szczęście zniszczyć przykrem słowem
Lecz gdyby... boć się kiedyś rzecz cała uprości,
Gdyby go do udziału zmusić w mej radości!
Lecz jakiż na to sposób? żadnegoż nie stworzę?
Gaston (czyta dziennik)
Numer sześćset dwadzieścia! Przegrałem!
Teresa (na stronie, uśmiecha się)
Być może
Iż jest jeden!
Gaston (siada przy stoliku i zabiera się do pisania na odwrotnej stronie listu pana de Champrosé)
Zobaczmy
Teresa (zachodzi z drugiej strony stolika i wydziera mu list, na którym pisał)
Pozwól z łaski swojej,
Cyframi tego listu walać nie przystoi.
(Składa list starannie)
Gaston (zdziwiony)
Ah!
Teresa (otwiera tekę i kładzie przed nim)
Masz papier.
Gaston (uśmiecha się)
Stąd wniosek wyciągam konieczny,
Że list ma wartość!
Teresa.
Wielką!
Gaston.
Małżonek mniej grzeczny
Pragnąłby bliżej zbadać jego pochodzenie.
Teresa.
Więc badaj!
Gaston.
Ja? cóż znowu! — nadto żonę cenię,
Bym podejrzliwie śledził jej tajemnic cienia.
Teresa (tonem szyderczym)
Skądże się więc przed chwilą wzięły podejrzenia?
Gaston (wesoło)
Nie było ich tam wcale! przysięgnę w potrzebie
(Bierze papier i macza pióro)
Poprostu żartowałem; jesteś pewną siebie,
Wiesz, że ci całkiem ufam i wyznaję śmiało:
Zazdrość jest we mnie wadą nadzwyczajnie [małą.
Teresa.
I kto wie czy nie błądzisz...
Gaston (podnosi głowę i przenikliwie patrzy w oczy Teresie).
O to próżna trwoga.
Teresa (bawi się listem)
Któż zgadnie?
Gaston (kładzie pióro, wstaje i zbliża się do niej)
Wiem, że ten twój liścik, moja droga,
Od Róży albo Laury, mówi o klasztorze;
I dalej nie badając, chętnie się założę.
Teresa (patrzy na Gastona z uśmiechem)
Założysz się?
Gaston.
Najchętniej!
Teresa (wesoło)
I ja z mojej strony.
Gaston (zdziwiony)
Doprawdy... Niech więc będzie! Podpis położony
Rozstrzygnie.
Teresa (otwiera list i pokazuje Gastonowi)
Patrz!
Gaston.
Jakto?
Teresa.
Patrz i bądź pokonany!
(Pokazując palcem podpis, czyta, naciskając sylaby)
Fer-dy-nand-de-Champ-ro-sé!
Gaston (wyciąga rękę po list)
Co?
Teresa (cofa szybko list i śmieje się)
Zakład przegrany!
(Składa list i chowa za stanik)
Róża... Laura, co uśmiech pod wąsikiem chowa,
O klasztorze, bądź pewnym, nie mówi i słowa.
Gaston (zdumiony)
Champrosé!
Teresa (bardzo spokojnie)
Tak, Champrosé.
Gaston (z przymuszonym uśmiechem)
Przegrałem... przyznaję.
Ale... co on ci pisze?
Teresa.
Pytasz?.. znasz zwyczaje!

---

klas naszego społeczeństwa, o ile można najprędzej urzeczywistnić zdołali.

W zeszłym tygodniu spotkaliśmy się z nowego u nas rodzaju publikacyą. Jest nią „Katalog ilustrowany," warszawskiej fabryki machin, narzędzi rolniczych i odlewów, chlubnie na ostatniej wystawie odznaczonej. Dziełko zawierające około dwustu stronic, wytwornemi opatrzone drzeworytami objaśnia, poucza i tłómaczy cel i użytek machin w najdrobniejszych szczegółach. Nie pominięto tu nic godnego uwagi, słowem rolnik znajdzie w tem dziełku wyborny podręcznik. Wydanie nader kosztowne i w każdym razie oryginalne dowodzi coraz pomyślniejszego rozwoju gospodarstwa i przemysłu krajowego. Przesąd i safandulstwo upadają, roztropność i śmiałość, połączone z uczciwością i twardą pracą biorą górę.

W niedzielę, d. 18 b. m. kilkotysięczny orszak pogrzebowy odprowadził na cmentarz wyznania mojżeszowego, zwłoki bł. p. Daniela Neufelda, znanego u nas pedagoga i literata. Zmarły, wychowaniec dawnych szkół XX. Pijarów w Wieluniu, pracując przez lat blisko czterdzieści na polu nauczycielskiem, jako założyciel pierwszego pisma poświęconego sprawom izraelitów krajowych, które pod tytułem „Jutrzenka" w latach od 1861 do 1863 umiejętnie i z wytrwałością redagował; jako tłómacz na język polski modlitw izraelskich i Pięcioksiągu mojżeszowego; jako autor przewodnika do wykładu buchalteryi podwójnej; jako wreszcie i przedewszystkiem mąż prawych zasad i charakteru szlachetnego, niepospolite dla społeczeństwa naszego położył zasługi. Nie mamy tu zamiaru zasług tych rozbierać, ani też doniosłe ich wykazywać znaczenie. Krótkie to wspomnienie wraz ze łzą żalu serdecznego, rzucamy na świeżą zgasłego mogiłę. Cześć jego zacnej pamięci! Spokój jego cieniom!

W zeszłym tygodniu podaliśmy wiadomość o przedsięwzięciem we Lwowie wydawnictwie dzieł Wincentego Pola, dzisiaj znowu możemy się podzielić z czytelnikami wiadomością, że wydawca Tygodnika Ilustrowanego powziął podobno zamiar kompletnego wydania dzieł Juliana Bartoszewicza. O ile wiemy, kolej na nie przyjdzie dopiero po ukończeniu całkowitego zbioru powieści Zygmunta Kaczkowskiego, oraz mających się niebawem ukazać dzieł historycznych i poetyckich Karola Szajnochy. Nie tak więc prędko będziemy mieli pod ręką to nowe i zupełne wydanie cennych prac naszego zasłużonego historyka — bądź co bądź jednak, możemy się już cieszyć pewną niemal nadzieją, że drogie dla nas pisma ś. p. Juliana pojawią się nareszcie w zbiorze całkowitym, uzupełnionym wielu pracami, które, o ile wie-

Gaston.
Ja?
Teresa.
Toć to nie zagadka.
Gaston.
Jednak!..
Teresa.
Pisze w liście
Żem piękna... że schnie... kona... kocha pło-[mieniście...
Słowem, jest czułe patos i piękna sielanka
Zakochanego, co chce zmienić się w kochanka.
Gaston.
Zniszcz ten list.
Teresa.
Muszę schować, jak on moje chowa.
Gaston.
Co?
Teresa.
Taka między nami stanęła umowa.
Gaston (stanowczo)
To żart, nieprawdaż?
Teresa.
To żart? Więc nie jestem warta
Miłości podług ciebie?
Gaston.
Ależ nie do czarta!
Ty mnie dobrze rozumiesz, pocóż więc udanie?
Wiem, że prawdziwą miłość wzbudzić jesteś [w stanie.
Mówię o *twoim* żarcie.
Teresa.
Moim?
Gaston.
Jak najprościej.
Teresa.
Pocóż-bym żartowała?.. ty nie znasz zazdrości
Gaston (żywo)
Jeśli nie mam powodu.
Teresa (śmieje się)
Gdy pogoda służy
Masz tak wielką odwagę, że urągasz burzy!
Brawo!
Gaston (szorstko)
Raz tej rozmowie niechaj kres położę!...
Takich listów kobieta przyjmować nie może
Bez współudziału w winie; dość jednego słowa
By ją za lekkomyślność ścigała obmowa;
Świat kontent jeśli może głosić cudze grzechy.
Teresa (zimno z szyderstwem)
Cieszyłeś mnie niedawno słowami pociechy:
Że zważać nie należy na głupich głów zdania,
Że dobry mąż swej żonie niczego nie wzbrania,
Że mogą żyć swobodnie, chociaż każde sobie...
Pozwól więc niech z wolności mej użytek zrobię.
Gaston.
Pierwej cię to smuciło— a teraz... jak skała
Zimną jesteś!... Skąd zmiana?..
Teresa.
Chcesz abym płakała
Może dumie mężowskiej potrzeba ofiary?
Mamże łzami dopełnić twych rozkoszy czary?..
Ja, miałabym się skarżyć?.. nigdy do nikogo!
(Kładzie się niedbale na kozetce)
Lepiej korzystam z nauk kupionych zbyt drogo;
Wiem, że szczęście małżeńskie, słów igraszka [pusta!
Wiem, że szkoda wymówką trudzić sobie usta.
Widzisz więc, że znam wasze prawa i maniery,
Chciej mi wierzyć, że taki jest mój pogląd [szczery;
Mąż i żona! ząb za ząb i oko za oko!
Prawo odwetu...
Gaston.
Pozwól! patrzysz zbyt głęboko,
I mogłabyś w ten sposób wejść na błędną drogę.
Ja o nic względem ciebie winić się nie mogę
I przysięgnę...
Teresa.
Daj pokój... przysięga... do czego?
Wiem jak zgodnie mężowie swej wolności strze-[gą;
Wiem, że jeśli ich zarzut płochości obarczy,
Za niewinność, fałszywa przysięga im starczy.
To co gdzieindziej każdy zwie podłości mianem,
W tym wypadku jest dla nich prawem nieza-[chwianem;
Tylko my nie możemy, niegodne istoty,
Żadnego mieć udziału w tej swobodzie złotej!
Gaston (zbliża się do Teresy)
Ależ... tak mnie znów łatwo pani nie pokona;
Kobieta winna zawsze...
Teresa (z szyderstwem)
Wiem, wiem:— mąż i żona
Nie mają praw jednakich. Wygodna maksyma!
Wiem nawet, że się Kodeks tej zasady trzyma.
Miejże litość nademną, nie mów takich bredni!
Czyliż małżeństwem mogą związani być jedni,
Drudzy zaś mieć w niem tylko pokrywkę skan-[dali?
Na zanadto nierównej ważymy się szali:
Z was i z prawdy w tej wadze fałsz się nai-[grawa,
Bo równe obowiązki równe rodzą prawa!
Kodeks!.. to wyraz, którym ciągle nam grozicie...
Lecz tej słusznej ustawie któż dał byt i życie?
Wy sami! nas o zdanie nawet nie pytano.
„Pisać prawa, mój udział!.. bo *lew* moje miano."
Ale czyliż koniecznie dlatego, że silny
Lew ma już sprawiedliwy być i nieomylny?
Słuszność, jest w takim razie prawem mocniej-[szego.
Jeśli słabszy się żali, można się śmiać z niego,
Bo prawa, jakich żąda są mu zaprzeczone.
Toć *Sganarelle* bezkarnie może bić swą żonę;
Lecz jeśli los i siła *Martynie* posprzyja,
Ona pewnie z kolei weźmie się do kija!...
I ujrzymy ich wtedy w zamienionej roli:
Sganarelle dobrze zbity, czując, że to boli,
Inaczej się na rzeczy zapatrywać będzie,
Przyzna: że kij— nie prawo, lecz tylko narzę-[dzie.
Gaston.
Wielbię twoję wymowę świetną, złotoustą,
Ale wszystkie twe ciosy idą w przestrzeń pustą
Bo cytować Kodeksu nie byłem w zamiarze,
Sam go nawet potępię gdy pani rozkaże.
Mówię o powinnościach, których moc dosięga
Wszystkich, chociaż ich żadna nie uświęca [księga.
Pełnienie obowiązków, skromność, miłość cnoty
To wasza cześć i chwała, to wasze klejnoty.
W własnem waszem sumieniu macie przewod-[nika...
Nierówność między nami stąd tylko wynika,
Choć nie każdy dość chętnie ma to na uwadze,
Że inne w nas uczucia inne rządzą władze,
Że honor kobiet z naszym różni się niemało,
Bo gdzie wy swój tracicie, nasz może wyjść [cało.
Stąd, jeśli mężów waszych cenicie zbyt nisko
Miejcie wzgląd na opinię, na cześć i nazwisko,
Wreszcie na wasze dzieci, te potężne świadki,
Co puklerzem powinny być dla każdej matki!

---

my, pozostać miały w rękopisach. Będzie to najtrwalszy pomnik poświęcony pamięci Bartoszewicza, na który ten głęboki, sumienny i niezmordowany badacz przeszłości naszej, zarówno cennemi pracami, jak i całem życiem swojem niezaprzeczenie zasłużył. Ani wątpić, że ogół, który rzeczywistą zasługę zawsze ocenić i uczcić potrafi i tym razem, poparciem ze swojej strony dopomoże wydawcy do urzeczywistnienia zacnych jego zamiarów.

Dramat Feuillet'a *Sfinks*, narobił wiele hałasu w Paryżu, nie dla wartości, której nie posiada, lecz z powodu troskliwie wystudyowanego i odegranego z przerażającą prawdą przez pannę Croisette konania. Dramat *Sfinks*, narobił wiele hałasu u nas (przed przedstawieniem) nie dlatego aby podobne sztuki, miały istotny powód być u nas przedstawianemi, lecz dlatego, że narobił wiele hałasu w Paryżu. Ci, co przeczytali ten dramat przed wystawieniem go na naszej scenie, nie mogli wróżyć mu powodzenia; ci co przeczytawszy, poszli go jeszcze zobaczyć, przekonali się, że mieli słuszność. Świetna wystawa i wspaniałe stroje nie uratowały słabego dzieła, któremu nawet trafniejsza obsada niektórych ról niewieleby pomogła, a przynajmniej nie ocaliłaby od upadku. *Sfinks* Feuilleta, daje nam jednak niepodobną do rozwiązania zagadkę: dlaczego został przedstawiony?

Jesień zdarła już drzew zieloność i poczyna haftować koronki szronem.... Cicho, głucho, ponuro i chłodno. Zmrok wcześnie zapada, godziny powoli płyną i rodzi się długi, długi jesienny wieczór. Znudzony mieszczuch poziewa i o nową dopytuje się rozrywkę, któraby nerwy jego podraźnić zdołała... Przegląda pilnie ogłoszenia ażali nie spotka się z szumną zapowiedzią amerykańskiego balonu lub cyrku, czy nie wabią go gdzie włoskie trubadury lub francuskie śpiewaczki... Goni za marną rozrywką, co mu kieszeń z groszy obierze a nie da nic dla serca i umysłu. Zanadto przyzwyczailiśmy się dziś do szukania zabawy, przyjemności, „wytchnienia," jak to skromnie nazywają, poza domem. Odrywamy się od swego kąta, a sięgamy po wątpliwej wartości uciechę. Śladem Niemców i Francuzów, którym z tem może bardzo praktycznie i korzystnie, opuszczamy ciche ściany domowe dla hałasu, zgiełku, dla szkodliwego światła gazowego, co oszałamia i gorączkuje, a wracamy dopiero przesyceni i znużeni... Czem się to dzieje, dlaczego w pogardzie mamy dawny obyczaj, dlaczego wielu z nas ucieka z własnych progów, gdzie jednak tak ciepło, tak błogo, tak lubo i pięknie?!

Teresa (spogląda bojaźliwie w stronę alkowy)
Gdy je mamy przy sobie, w takim razie zgoda
Lecz gdy są zdala od nas, któż nam siły doda?
Kto nas zdoła obronić? czyż rozumowanie
Ustrzedz nas od chwilowej słabości jest w sta-
[nie,
Zwłaszcza, gdy sercem rządzić nie możemy sna-
[dnie,
Gdy nami rozpacz, zazdrość lub miłość owła-
[dnie?
Dziecię, urokiem samej obecności swojej
Budzi w nas pobłażanie i cierpienia koi;
Spojrzeniem łzę niejedną w oku nam osuszy,
Spokój wnosi do domu, a rozkosz do duszy,
A jeśli się wesoło, radośnie uśmiecha
Jakież to dla nas szczęście, cóżto za pociecha!
Czyż się matka sprzeciwić czemu bądź odważy
Gdy dziecię pocałunek złoży na jej twarzy?
Mam wady! zgoda! jestem płocha, trzpiotowata
I nadto się unosić daję wirem świata!
Ale czyż mi kto lepszy pogląd dał na życie?
Czy skierowano wzrok mój, bez celu w błękicie
Utkwiony? Przy kołysce dziecka, które kocha
Czyliżby ta kobieta była równie płocha?
Gdy na mężowskiem ręku wesprzeć się nie może
Ten anioł byłby nie dał wejść jej na bezdroże.
Przy nim powinność nawet w rozkosz się za-
[mienia.
Kiedy na matkę zwróci niewinne spojrzenia,
W jej oczach, rozpoznają łatwo jego oczy
Niebo, którego żadna chmurka nie zamroczy.
Wtedy, ją-by nauczył jej instynkt niewieści,
Że szczęście nie w czczych hołdach światowych
[się mieści,
I że choć szczęście minie, cień błogiej prze-
[szłości
Przy kołysce dziecięcia na dłużej zagości!
Matka rzekłaby żonie co czynić wypada;
I mnieby od niej taka dostała się rada!
Oto— coby dla ciebie uczyniło dziecię,
Gdyby tu było, nie zaś przy obcej kobiecie!

Gaston (wstaje)
Wyznam, żem nie przewidział tej dziwnej
[obrony,
Która straży dziecięcia zdaje honor żony!
A zatem... pan Champrosè... jakaś piękna lala..

Teresa (żywo)
Cóż takie przypuszczenia czynić cię zniewala?

Gaston.
Niestety! mnie pozory zwodnicze nie mylą
Bo całą prawdę sama wyznałaś przed chwilą;
I ten list, tak starannie skrywany przedemną...

Teresa wyjmuje list z za stanika i drze go w ka-
wałki)
Oh! prawda, list ten na mnie rzuca plamę ciemną!
Wstyd mi, żem go dotknęła i choć w dobrym
Czuję, że niegodnego użyłam fortelu! [celu,
Sądziłam,.. że poddawszy cię zazdrości próbie
Choć iskerkę uczucia zdołam wzniecić w tobie;
Lecz wolę żyć tem życiem niezgodą zatrutem,
Niż być, choćby przez chwilę, pod takim zarzu-
[tem.
Nie popełniłam błędu — lecz wyznaję śmiało
Że zdala dziecię moje nademną czuwało?

Gaston.
Twoje dziecię, powiadasz!.. dlaczego nie nasze?
I we mnie tli uczucie, którego nie zgaszę,
Jestem ojcem, mam w piersi serce nie z ka-
[mienia,
Choć twój sąd zbyt surowo czasem je ocenia.

Teresa.
Tę sympatyą, miłością czyż nazywać wolno,
Gdy nie jest do żadnego poświęcenia zdolną,
Skoro na płacz dziecięcia skarży się, narzeka
I chcąc je kochać musi być odeń zdaleka?
Jakto! wuj niespodzianie przybywa w tej porze
A ty zimno powiadasz: „ja się tem nie trwożę."
A jednak syn twój jego opiece oddany,
Serce winno z obawy zadrżeć niespodzianej
Bo któż wie— grom uderzyć może co godzina,
Czy nieszczęście naszego nie spotkało syna,
Czy...

Gaston (bardzo wzruszony)
Mój Boże!..
(Postępuje kilka kroków ku drzwiom)

Teresa (gestem wstrzymuje Gastona)
Gastonie, nie trwóż się o dziecię!
Gdyby mu się co stało, wuj nie spałby przecie.
Dzięki! należy ci się moja wdzięczność szczera;
Ta chwila wszystkie dawne zmartwienia zaciera!
Sądziłam... byłam w błędzie... proszę przeba-
[czenia...
Jestem bardzo szczęśliwą—ten dzień wszystko
[zmienia.
(Pada na fotel)

Gaston.
Tereso!

Teresa.
Chciej przebaczyć!...

Gaston (klęka przed Teresą)
Ja, tobie aniele?
Ja com łez z oczów twoich wycisnął tak wiele,
Ja, co z obojętnością raniłem twą duszę?
To ja o przebaczenie ciebie błagać muszę!

Teresa.
Gastonie!

Gaston.
Serce moje z podwojoną siłą,
Nieznanem mi uczuciem w piersi uderzyło,
Dawno uśpiona struna zadrgała tajemnie
I spostrzegam, że wielka zmiana zaszła we mnie!
Patrz! ja płaczę... i wcale nie wstyd mi słabości,
Bo czuję, że ta miłość co w mej piersi gości
Zdoła mi może znowu wrócić serce twoje;
Błagam o to z pokorą— lecz się niepokoję
Czy nie żądam zbyt wiele? czy moja otucha
Nie zawczesna. Na prośby czy nie będziesz
[głucha?
Pamiętaj o niejednej pełnej szczęścia chwili,
Gdy wzajem zakochani tutajśmy marzyli;
Kiedy wzrok twój anielski, od słów nawet
[szczerszy
Twą miłość mi Tereso zwiastował raz pierwszy
Ten pokój, gdzie się jeszcze duch wspomnień
[unosi,
Wraz ze mną dla mnie twego przebaczenia prosi.

Teresa.
O mój drogi!

Gaston (wstaje i ściska Teresę)
To syn nasz dawną wraca zgodę!
On utrwali na przyszłość nasze szczęście młode,
A ja mu za to będę tarczą i opieką!
Pójdź!.. jedź ze mną po niego!.. bo on tam daleko!

Teresa (wstrzymuje Gastona; idzie i odsłania firankę)
Gastonie!.. idź wujowi złóż podziękowanie,
Przywiózł dziecię... bo widać przeczuł co się
[stanie.

Gaston (biegnie ku kołysce)
Mój Julian!

Teresa.
Więc ty jeszcze kochasz mnie tak szczerze?

Gaston.
Teraz naszego szczęścia ta kołyska strzeże!

Teresa (zwraca się ku kołysce)
Pozdrawiam cię aniele!.. niech pieszczoty twoje
Otworzą nam świątyni miłości podwoje;
Niechaj nas rozwesela twa wesołość pusta,
Niech słodki pocałunek zbliży nasze usta,
Niech on dawnych przyrzeczeń zapamięta słowo,
I niech nas twoje rączki połączą nanowo!
(Słychać pukanie do drzwi z prawej. Od kilku chwil
dnieje).

Gaston.
Wuj idzie.

Teresa (z uśmiechem)
Cóż mu powiesz, gdy wejdzie w te progi?

Gaston (ściska Teresę)
Żem szczęśliwy Tereso!
(Znowu słychać pukanie)
Wejdź wujaszku drogi!
(W chwili, kiedy kurtyna spada, drzwi się otwierają)

KONIEC.

SZTUKI PIĘKNE.

Malarstwo i Rzeźba.

La critique est facile mais l'art est difficile. Krytyka jest łatwą, lecz trudną jest sztuka, mówi przysłowie francuskie. W przysłowiu tem jest dużo prawdy, zdaje mi się jednak, że i krytyka jeśli jest taką jak być powinna również łatwą nie jest. Ponieważ w piśmie naszem mnie dział krytyki malarskiej przypadł w udziale, pozwólcie czytelnicy, ażebym zaczął od małego wyznania wiary, od wypowiedzenia zasad, jakich się w ocenach moich trzymać będę.

Krytyk ma zadanie podwójne—bronić i zalecać artystę publiczności i bronić publiczności od artysty. Kto raz siłą talentu otworzył sobie artystyczną karyerę, ten już do siebie nie należy; jego talent jest własnością kraju, współziomków i społeczeństwa całego, a kraj ma prawo wymagać od niego, aby talentu tego nie marnował ale szedł prostą drogą do wytkniętego celu, postępując ciągle naprzód do ostatnich wyżyn sztuki. Naodwrót artysta ma prawo, o ile wypełnia swoje zadanie, do uznania i czci ogólnej, jaką otaczać go winni ci wszyscy, dla których pracuje, a zatem wszyscy współobywatele. Wyrazem opinii ogólnej dla artysty jest krytyka i dlatego właśnie zadanie jej nie jest łatwem. Krytyka nie może być bezwzględną, a jednak musi być sprawiedliwą. Artysta jest również człowiekiem, może mieć chwile słabości i takie koniecznie uwzględnianemi być muszą, ale błąd, błąd szkodliwy powinien być wytknięty bo inaczej krytyka nie będzie wyrazem opinii ogólnej i rozminie się ze swojem zadaniem. Pod wyrazem jednak opinia nie rozumiem wcale tego co zwykle opinią nazywamy... vox populi. Offenbach ściągał publiczność do wszystkich teatrów europejskich, a jednak krytyka muzyczna wszystkich krajów go potępiła; kto miał słuszność.... krytyka.

Niegodną jest rzeczą artysty wyzyskiwanie słabości ogólnych, wyzyskiwanie ujemnych stron natury człowieka. Krytyk w takim razie ma obowiązek walczyć przeciw takiemu prądowi całą siłą i stać na straży znieważanej

sztuki, a opór jego chociaż bezsilny w danej chwili z czasem niezawodnie bezowocnym nie będzie. Obraza i niechęci osobiste małą są rzeczą w stosunku do ważności zadania, które jeśli krytyk sumiennie wypełnia dobrze się sztuce krajowej zasługuje.

Słówko jeszcze co do kierunków. Ogólnie zarzucają malarzom i rzeźbiarzom dzisiejszym kierunek realny ich pracy; skierowanie usiłowań i dążności całej do odtworzenia prawdy i natury z zupełnem zaparciem się ideału. Dla mnie zarzut ten nie egzystuje, bo stanowczo nie uznaję realizmu w sztuce. Jedno z dwojga, albo autor wlał ducha swego w swoję pracę a wtedy jego utwór jest dziełem sztuki, albo wprawny robotnik przeniósł na płótno kopią czegoś, odfotografował farbami jakiś przedmiot wiernie, lecz niechże w takim razie do nazwy artysty pretensyi nie rości.

Może za śmiało przecinam ten węzeł gordyjski, lecz zdaje mi się, że przedmiot nie wart większego trudu. Niechże ktoś jednak z tego nie wnosi, że nie oceniam całej doniosłości studyów z natury, znajomości anatomii i proporcyi form, przeciwnie wagę ich pojmuję dokładnie gdyż bez nich artystą być nie można, lecz to wszystko razem wzięte z głęboką znajomością rysunku i perspektywy jak i umiejętnością kombinacyi kolorów stanowi zaledwo materyał, otwiera dopiero przybytek sztuki temu, kto ten martwy materyał siłą talentu ożywi.

A teraz łaskawi czytelnicy raczcie mnie przyjąć za przewodnika w skromnym gmachu naszej wystawy towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Będę się starał omijać z wami miernoty ale za to pokażę wam zawsze każdą choćby drobną iskierkę talentu, jaką mi się na płótnie lub w marmurze dostrzedz uda, a jeśli przemilczę lub pobłażaniem pominę błędy weteranów sztuki, to w zamian śmiało powiem nieudolnie poczynającym: „za mało u nas rąk do pracy, a wy je marnujecie w nieudolnym trudzie, wróćcie się póki czas aby was kraj za zmarnowane nie poczytał dzieci."

Pod ogólną nazwą sztuki malarskiej znajdujemy wybitne działy tak jak pod nazwą poezyi lub muzyki. Malarstwo rozpada się na dział: 1-o religijny, 2-o historyczny, 3-o rodzajowy, do którego policzyć należy poddziały krajobrazów i portretów. Stosownie znowu do sposobów malowania, mamy 1-o malarstwo olejne, 2-o pastele czyli suche farby, 3-o farby wodne, a obrazy w ten sposób malowane zwą się akwarelami. Wszystkie te działy są na naszej wystawie reprezentowane, my mówić jednak będziemy tylko o pracach najświeższych.

Malarstwo religijne znajduje się wstanie upadku we wszystkich krajach, jestto wypływem usposobienia wieku, malum necessarium, które należy przyjąć za takie. W ostatnich czasach z tego działu przybył tylko mały obrazek: „Ś-ty Kazimierz," p. Murzynowskiego. Pan Murzynowski jest utalentowanym artystą w obrazach rodzajowych i w ostatnich dopiero czasach przerzucił się (nie wiem czy stanowczo) do malarstwa religijnego. „Chrystus na krzyżu" zdaje się pierwsza próba artysty, nie był bardzo szczęśliwym pod względem wykonania, Ś-ty Kazimierz za to jest kompozycyą dosyć udatną. Święty modli się klęcząc przed ołtarzem, na stopniach leży jego czapka książęca a nad głową unosi się aureola błogosławionych. Przeciwko rysunkowi i kolorytowi nie mam nic do nadmienienia; twarz tylko świętego wydaje mi się nazbyt pospolitą, jakkolwiek znać w niej skupienie ducha i modlitwę. Obrazek ten nie jest arcydziełem, ale robi przyjemne wrażenie, a to już dużo w dzisiejszych czasach prawdziwych bohomazów religijnych.

Dział historyczny z nowych nabytków reprezentują pp. Mirecki, Sypniewski i p. Wandalin Strzałecki.

Autor „wieczoru romantycznego" równie jak i p. Sypniewski nie wystawili w ścisłem znaczeniu obrazów historycznych, gdyż tak: „Wprowadzenie Muzyki na dwór Zygmunta Starego" jak i „Pierwsi medalierzy w Polsce" nie przedstawiają żadnej wybitnej sceny historycznej i jedynie kostyumami i nazwą osób pod dział historyi podciągnąć się dadzą.

Praca p. Mireckiego jest o wiele słabszą od wieczoru romantycznego. Wprawdzie wad wybitnych w niej niema ale obraz niczem nie pociąga; przechodzi też bez silnejszego wrażenia. Najszczęśliwiej wyszły dzieci królewskie, najsłabiej sami artyści i para królewska na tronie. Za zaletę poczytać można artyście, że w obrazie dużo jest powietrza i grupowanie bardzo umiejętne.

Pan Sypniewski jestto młody artysta pracujący wytrwale i postępujący ciągle; sądzę też, że wystawa samych dzieł jego z czasem obudzićby mogła niemałe zajęcie, jako historya rozwoju pracy i myśli malarza. P. Sypniewski do dziś dnia jeszcze ma wadę zasadniczą, której dotąd nie przezwyciężył a tą jest: nienaturalność i niby woskowa skóra twarzy jego postaci, ale jakiż to skok olbrzymi od prac dawnych! jaka różnica w expresyi, w poprawności rysunku i w samem upozowaniu. Dziś młody artysta ze wszystkiego jest w stanie zdać sprawę w obrazie, ze wszystkiego się wytłómaczyć i widzowi jasno się myśl zasadnicza przedstawia, a jeśli pomysł nie jest nazbyt szczęśliwy i scena nie uderza wielkością ani przeraża dramatycznością, to przynajmniej można rokować, że w przyszłości p. S. zdobędzie się na rzeczy prawdziwie piękne, gdy dziś już daje taki obraz jak medalierzy.

Dlaczego piszę o p. Wandalinie Strzałeckim, spytacie czytelnicy, kiedy o rzeczach niżej krytyki stojących zamilczeć miałem? Oto dla tej prostej przyczyny, że dowiedziałem się iż autor: „śmierci Samuela Zborowskiego" ma dopiero lat osiemnaście i jest uczniem tutejszej szkoły rysunkowej, a to punkt zapatrywania się zupełnie odmienia. Kto mając lat 18 ma poczucie kolorytu, pewną znajomość rysunku, zdobywa się na pomysł samoistny, a wreszcie ma takie oddziaływanie wrażenia, że każdy kto widział Kopernika Matejki, odrazu w tem wypracowaniu młodzieńca, wpatrzenie się całą duszą w utwór genialnego mistrza pozna; to łatwo przyjść do wniosku, że taki młodzieniec z czasem może wyjść na znakomitego artystę i chlubę przyniesie krajowi. Trzeba jednak nie marnować darów bożych na nieudolne próby, lecz w wytrwałej pracy przedewszystkiem zebrać materyał, z którego potem obfite może być żniwo. Niech kierownicy młodzieńca o tem pomyślą. Przedewszystkiem praca nad rysunkiem, dalej kopiowanie arcydzieł i studya z natury, a potem dopiero wymaluje się Śmierć Samuela Zborowskiego przy wschodzącym świecie, wtedy Samuel Zborowski będzie sprawiał litość i współczucie, Zamojski powagą i godnością wzbudzi szacunek, kat przerazi, a cała scena tak dramatyczna otworzona z *talentem* i *umiejętnością*, zrobi wrażenie piękna na duszy widza a nie jak dziś uśmiech lekceważenia na usta wywoła.

Dalsze działy na następną zostawiam sobie ocenę. *K. Z.*

Dzieci Żebraczek.

Każdemu z nas zdażało się z pewnością spotykać po ulicach Warszawy jakoteż i innych miast naszych, kobiety z oszpeconem przez nędzę i nałogi obliczem, z śladami na niem nierzadko niezagojonych jeszcze chorób, ran różnego rodzaju i sińców, zabrudzone i wstręt wzbudzające, które, wyciągając jednę rękę po jałmużnę, starały się skłonić nas do litości: podstawianiem pod oczy maleńkiego dziecka, otulonego w mizerną jakąś płachtę lub chustę, a niesionego przez nie na drugiem ręku.

Na dworze było często zimno. Śnieg lub deszcz zaprószał oczy. I my też w ciepłe swoje otuleni palta, dobrześmy czuli, jakby nam w tej chwili trudno było obejść się bez nich—jakbyśmy byli biedni, nie mając szerokiego kołnierza, którym się możemy przed deszczem tym i śniegiem zasłonić.

W tej porze jednakże widzieliśmy te maleńkie istoty, dzieci, z ich ciałkami delikatnemi jeszcze i nieprzyzwyczajonemi do jakichbądź niewygód, tulące się, odkrytemi całkiem twarzyczkami do piersi, o które opierały główki i wzywające instynktowo wilgotnemi od łez oczkami, naszej pomocy.

Jeden się zatrzymał i dał co żebraczce; drugi przeszedł mimo niej obojętnie. Gdybyż obojętnie tylko!... Ale byli tacy, co na widok dziecka i kobiety odwracali ze wstrętem głowy, i przyspieszali kroku, chcąc tym sposobem umknąć niejako od wrażenia nędzy, która im tak bez skrupułu zastępowała drogę, nagością swoją różowe mącąc myśli.

W takich razach, zdarzyło się także komuś może, iż posłyszał nagle poza sobą pisk jakiś, podobny do tego, jaki wydaje mały np. piesek, gdy mu kto przypadkiem nastąpi na nogę.

Okropność!... a jednakże i ta okropność nieraz nam się może przytrafiła. Żebraczka chcąc koniecznie zwrócić na siebie uwagę, uszczypnęła dziecię umyślnie, dlatego aby krzyk wydało! Odwróciliśmy się z oburzeniem i z większym jeszcze pośpiechem uciekliśmy od niej. Tak jest. Ale to dziecię, to dziecię maleńkie, ta istotka niewinna, która nikomu nic jeszcze złego nie zrobiwszy, w pierwszych dniach zaraz po urodzeniu, na łasce podobnej kobiety żyć musi, ta istotka poza naszą głową została się także.

Co z nią los zrobił dalej? czy owa kobieta była jej matką, czy kto inny? czy dziecię było syte, zdrowe, ciepło odziane lub nie? jak się z niem obejdzie nieraz jeszcze żebraczka w czasie kiedy podobnie jak teraz, żadne ludzkie oko porywów jej gniewu lub chciwości powściągać nie będzie? gdzie spać je kładzie? czem je odziewa? co daje mu za napój w miejsce kobiecego mleka, którego jak wiemy, każde prawie dziecię dla utrzymania się przy życiu, w początku potrzebuje?... jaki człowiek nareszcie dla społeczeństwa z sierotki podobnej wyrosnąć w przyszłości może? — tych wszystkich pytań nie zadawaliśmy sobie wówczas wcale.

A jednakże są to kwestye, o rozwiązanie których w razach takich koniecznie troszczyćbyśmy się powinni, już nie jako obywatele, nie członkowie społeczeństwa, nie filantropi, ani jacyś dobroczyńcy ludzkości, ale... jako poprostu l u d z i e.

Gdzież serce mamy, aby podobne rzeczy zbywać obojętnością? jestże w piersi naszej choć trochę uczucia? albo też choćby tylko sam nasz ten rozum, żadnychże nam, na widok scen podobnych, obaw ani skrupułów na myśl nie nasuwa?

Mamy towarzystwa opieki nad zwierzętami, mamy przytułki dla starców i kalek, domy dla małoletnich przestępców, szpitale dla chorych, pomoce dla dotkniętych pożarami, i t. p. i t. p., a dzieci, dzieci małe, które na rękach matek co same nie mają chleba, dogorywają w oczach naszych setkami, dzieci, ów zarodek przyszłych pokoleń, te latorośle wymagające największej opieki i starania, dzieci, z których

oczekujemy przyszłych ludzi, z których niejedna może wyrosnąć gwiazda, co nam samym jeszcze za naszego życia zaświeci, te małe, biedne istoty pozostawiamy bez żadnej o nie troskliwości w rękach pijaczek, rozpustnic i nierzadko zbrodniarek, które nawet psów przy sobie wychowaćby nie mogły!

Naprawdę, rzecz dziwna i pełna zgrozy. Zdawałoby się, żeśmy ślepi zupełnie na własne dobro nasze, że nie rozumiemy najprostszych, najkonieczniejszych rzeczy, na których się to dobro właśnie opiera; zdawałoby się nareszcie, że litość nasza, że miłosierdzie, miłość bliźniego i chęć czynienia dobrze, których to niby świadectwem są wszystkie owe wymienione powyżej filantropijne zakłady i towarzystwa, że, mówimy, te uczucia, to nie uczucia wcale, a tylko jakieś czcze i pozorne ich mamidła, mające służyć do oszukiwania własnego sumienia i Boga!

Ktoś nam zarzuci, że wpadamy w ton kaznodziejski. Tak jest. Lecz powiedzcie sami, czy przedmiot, który poruszamy jest nawet tego rodzaju, że o nim z chłodem i spokojem mówić można? Zaiste! nie chyba; i dlatego nie tając się z tem wcale, że łzy mamy w oczach w tej chwili, prosimy dla nich o pobłażliwość. Spotkaliśmy sami niedawno taką kobietę z dziecięciem. Jeszcze teraz drżymy na wspomnienie wrażenia, które w nas to spotkanie wówczas wywołało. Z suchem okiem zwróciliśmy się tam w dal przed siebie, w ulice miasta rojące się tłumem, błyszczące przepychem i gwarem szumne, i pytaliśmy się siebie, czy istotnie tam chodzą ludzie, czy larwy tylko z maskami ludzkich wyobrażeń. Zawierzcie czytelnicy, że jest nad czem załamać ręce, jeśli tylko się ma serce i w sercu trochę litości.

Jakto! więc gdy po szerokim świecie tyle skarbów i pieniędzy na daremny przepych, na bale, turnieje i uczty, na koncerty, teatry, maskarady i reduty, rozchodzi się co chwila, gdy każda godzina kosztuje nas tyle wydatków na zbytkowe wygody i przyjemności, wówczas, w kieszeniach naszych, w naszych kasach i bankach, braknie tylko grosza na zakupywanie pokarmu dla biednych bezbronnych istot, które nawet głośno odezwać się jeszcze nie umieją?

W naszych zakładach dobroczynnych braknie dla nich tylko miejsca? w naszych przytułkach, przytułku tylko dla nich?

Odpowiedzcież czytelnicy.

A może te słowa nasze wyzwą na plac debatów skądś z zakątka, z pośród ścian czterech zapylonego mieszkania, jakiego uczonego ekonomistę, który w namaszczeniu i z powagą, z jaką się zwykle podobne kwestye traktuje, zacznie nam dowodzić, że p r z y t u ł k i p o d o b n e r o z s z e r z a j ą p o ś w i e c i e n i e m o r a l n o ś ć i z e p s u c i e?

A może też jeszcze inny powie na to z pobłażliwym uśmiechem: „Poetą jesteś jegomość! niepodobna, aby społeczeństwo spełniało względem dzieci obowiązki rodziców" i zacznie nam w dalszym ciągu może wykazywać cyframi, że w tym i w tym kraju, w tym i w tym czasie, skutki z podobnej niewłaściwej opieki nad dziećmi, okazały się bardzo zgubne.... gdyż l i c z b a n i e p r a w n y c h n i e m o w l ą t t a m w z r o s ł a przez co znów m o r a l n o ś ć u p a d ł a, a moralność to jest to, a nieprawe dziecko to....

Wysłuchamy tej mądrości z całym szacunkiem i odpowiemy: „Zgoda na wszystko, co dostojni panowie mówicie, wyrazy wasze są przekonywające, tak jak cyfr wymowa, przyznajemy wam też najzupełniejszą racyą, tylko... tylko... bądźcie łaskawi utulić jakimś sposobem płaczących wszystkich biednych istotek, które się bez waszego pozwolenia urodzić ośmieliły, nasyćcie je temi prawdami statystyki, którą tak wybornie znacie, jęk ich żałosny w głodzie i zimnie utulcie tą racyą, którę wam właśnie przyznaliśmy, bo... bo płaczu tego, tego jęku słuchać nie możemy. Naszem zdaniem m o r a l n o ś ć, która tą drogą utwierdza państwo swoje, jest nie moralnością a r o z p u s t ą, naszem zdaniem, każde dziecko, które światło dnia oglądać do nas przyszło i tym sposobem zapisało się jako robotnik do odbywania wspólnie z nami w przyszłości, pańszczyźnianych obowiązków życia, nie jest n i e p r a w e m, ale równem każdemu innemu. N i e p r a w i mogą być rodzice, lecz dzieci nieprawych nie ma! i gdyby przypadkiem się stało, że tą tylko drogą ci mali przyszli robotnicy życia, te dzieci, te niemowlęta, na światby się rodzić musiały, to występek wypadłoby nam uznać za akt równy cnocie, a sami nawet rodzice byliby wolnemi od zbrodni! *(d. n.)*

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(P r z e k ł a d z n i e m i e c k i e g o.)

(Dalszy ciąg)

— Pójdź, Tom, chodźmy do domu, wypiłem zadużo, kręci mi się w głowie a wiesz, że nie miałbym ochoty, zostać tu na noc. Ty mnie tu sprowadziłeś, więc mnie też wyprowadź — chodźmy. Słabo mi się robi, wszystko mnie boli i ledwie się trzymam na nogach.

— Hallo, Jerzy, zaśmiał się Tom, to już zaszło tak daleko? To już ja jestem w stanie znieść więcej, ale żalby mi było bardzo, gdybyśmy już musieli odejść, dopiero teraz właśnie zabawa zaczyna się na dobre.

— Ależ ja tu nie wytrzymam dłużej. Wszak mnie teraz nie puścisz samego?

— Nie, rzekł Tom dobrodusznie, z pewnością nie, Jerzy.

— Ale jeszcze raz łykniecie, nim pójdziecie, Mates, zawołał stary żeglarz, który podsłuchał powyższą ich rozmowę. Potem ja sam wyprowadzę was na ulicę.

— Ani kropelki więcej, odpowiedział Jerzy.

— Oho! rzekł stary urażony, nie wiecież, jaki jest zwyczaj pomiędzy nami żeglarzami? Myślicież, że my tylko od was przyjmować musimy? Choćbyście może należeli kiedy do okrętu wojennego, trzeba wam wiedzieć, że tu równe mamy prawa, i niech zginę, jeśli się kiedy komubądź obrazić pozwolę.

Stary zuch, jak się zdawało, sam wypił za dużo, że zaś na odgłos słów jego, wiele głów już poczęło się odwracać, Jerzy starał się, o ile można uniknąć, zajścia.

— Chodźmy, chodźmy, Mate, rzekł chcąc go ułagodzić; nikt z nas nie myśli was obrażać. Za wasze zdrowie wypijemy z całego serca, raz jeszcze, ale czy potem wyprowadzicie nas, co?

— Czyliż wam nieprzyrzekłem tego, shipmates? powiedział żeglarz, prędko udobruchany,—a zatem szczęśliwej drogi! podał kielich każdemu z nich, swój wychylił duszkiem, spoglądając na nich z oczekiwaniem. Tom prędko poszedł za jego przykładem; ale Jerzy zawahał się na chwilę — grog zdawał się wyjątkowo mocny, a obawiał się nieznośnego bólu głowy nazajutrz. Co jednak miał począć? Zaczął— więc musiał do końca wytrwać w swej roli, silne zatem powziąwszy postanowienie, wypił swój kielich.

Zdawało mu się jednak, że ogień przebiegł po jego żyłach, potem znów, że ołów roztopiony; światła poczęły tańczyć wokoło i musiał się oprzeć o najbliższe krzesło.

— Damn-it, Jerzy, rzekł Tom ze śmiechem, doprawdy myślę, że masz dosyć, chodźże, zaprowadzę cię do twego mieszkania, a do jutra rana prześpisz wszystko. Mnie samemu miąsza się w głowie, to dopiero przeklęty, mocny grog, Mate, ja sambym go nie pił po raz drugi.

— To był pogromca trosk, uśmiechnął się stary, zazwyczaj pijemy go do snu, nazajutrz zaś głowa tak jasna i czysta, jak dzwon. Ale myślę, że rzeczywiście czas pójść, gdyż po tamtej oto stronie już poczyna się zgiełk, a zuchy nasze, gdy poczują w mózgu gorąco, prędko pięści mają w pogotowiu. Pójdźcie, furtką wyprowadzę was prosto na Waterstreet, a wtedy każdy Watchman, już wam wskaże drogę.

Miał racyą, przy jednym ze stołów po drugiej strenie wszczęła się sprzeczka, w której przyjęły udział siedzące tamże damy, niebardzo dobierając wyrażeń.

Jerzy spojrzał w stronę kłócących się, czy to jednak z powodu gęstego dymu tytuniowego, czy też z powodu ciemno palącego się gazu, wkoło którego widział tęczę różnobarwną, nic wyraźnie rozróżnić nie był w stanie, wszystkie osoby pływały przed jego oczyma, jakby się unosiły w powietrzu.

Wszelako krzyk powstały odrócił od nich uwagę innych gości, którzy bez tego możeby ich jeszcze nie puścili tak prędko. Przewodnik ich, widząc w jakim znajdują się stanie, pochwycił obu za ręce i szczęśliwie wyprowadził na dwór. Przeszli wzdłuż dziedziniec, sami nie wiedząc w jakim szli kierunku, zauważyli tylko, że prędko przybyli do długiego ciemnego korytarza, przez który doszli do jakichś drzwi zamkniętych. Te drzwi otworzył ich przewodnik, schwycił ich znów za ręce i odprowadził dosyć daleko — w lewo, czy w prawo, nie wiedzieli sami.

Tom chciał go się zapytać, dokąd ich prowadzi, ale miał język jakby sparaliżowany, nie był w stanie wymówić ani jednego słowa, postępował naprzód trzymając się wilgotnej ściany.

— Tom, bełkotał Jerzy—tak mi—tak mi— nie dobrze—nie wiem—myślę—nie mógł dokończyć, a Tom słyszał wprawdzie głos, ale znaczenia słów nie rozumiał.

Znów otworzyły się drzwi.

— Tak—otóż jesteśmy na ulicy, rzekł ich przewodnik, ale teraz już sami pójdziecie do domu.

Jerzy potoczył się naprzód—tak było ciemno, że niezobaczyłby własnej ręki. Stąpnąwszy zaczepił o coś nogą i padł, jak długi, było mu miękko, chciał wstać, ale nie mógł. Musiał wypocząć przez chwilę, przewracało mu się w głowie. Co się stało z Tomem, nie wiedział—nie mógł już zebrać myśli. Przez kilka tylko sekund, gdy leżał rozciągnięty na ziemi, pojmował swe nieszczęście, potem—stracił zmysły.

III. Niespodzianka.

Kiedy Jerzy nazajutrz rano—nie można powiedzieć przebudził się, ale raczej, kiedy wracał do przytomności—kilka jeszcze chwil z zamkniętemi oczyma pozostał w łóżku, gdyż z wielkim swoim żalem czuł, iż wcale jeszcze nie przespał wczorajszej hulanki, którą sobie wyraźnie przypominał. Kołysało się i poruszało z nim wszystko, ze strachem przeto pomyślał, że dziś rano nie będzie się mógł pokazać swojej Jenny — co ona będzie sądzić o nim — jaki mu zarzuci brak serca i obojętność dla niej.

Ale wokoło siebie słyszał obce głosy, a nad jego głową, w górnych pokojach, ciężkim krokiem przechadzali się ludzie. Otworzył oczy, pozostał jednak spokojnym i nieporuszonym, wszystko bowiem co widział, było mu nieznajome a nie przeczuwał, gdzie się właściwie znajdował.

Znów zamknął oczy i rozmyślał. Zaszedłże do domu wczoraj wieczór? Nie pamiętał, więc w każdym razie nie — a gdzież zaprowadził go Tom—czy czasem nie zasnęli w karczmie marynarskiej, na śmierć pijani?

Święty Boże! gdyby się o tem dowiedziała Jenny, jednej tylko sceny mógłby oczekiwać od niej—a co najgorsze—miałaby racyą.

Popatrzał wokoło — istotnie nic, prócz marynarzy—ale tu na górze.... Stąd jeden, jakby z pomostu, zeszedł po schodkach. A to—wszak to nie pokój, jak bywa na lądzie—wszak to okręt. Zerwał się na równe nogi i wybiegł z ciasnej skrzyni, w której leżał; dzikim wzrokiem wodząc w około, spostrzegł kilku ludzi.

— Hallo, Mate, zawołali ze śmiechem, wyspałeś się? do stu piorunów, straciłeś zrzędu cztery straże nad kajutą—nieźle musiałeś hulać wczoraj. I pewnie to dosyć kosztowało — co?

— Gdzież jestem? zawołał Jerzy pomięszany, na okręcie?

Głośny śmiech strażników, których bawiło zdziwienie nowego towarzysza, był mu całą odpowiedzią. Jerzy, nie dostrzegłszy pomiędzy nimi ani jednej znajomej twarzy, wbiegł na schody prowadzące na pokład.

W około, jak daleko sięgało jego oko, widział morze, dzikie, bezgraniczne morze—tylko tam, w dali, sterczały góry jego ojczyzny, ale coraz bardziej stawały się szare i nieokreślone. A o wzdętych żaglach szybko się posuwał dzielny okręt, prując bałwany na przodzie, popychany przez nie z tyłu.

Jerzy stał, jakby we śnie — nie dowierzał własnym zmysłom, ale miał dotykalny dowód przed sobą. Teraz dopiero przedstawiał mu się cały ogrom niebezpieczeństwa, w jakiem się znajdował; w tej chwili właśnie — w tej chwili być uwiezionym na morze, kiedy go wszystkie węzły jego serca łączyły z lądem, z Nowym Jorkiem!

— Gdzie Kapitan? spytał najbliżej na pokładzie, stojącego majtka. Był to stary wiarus, z siwemi kędzierzawemi włosami; ale ten nie dał mu żadnej odpowiedzi: Bo i cóż go obchodził ten *zielony!* Był to cieśla okrętowy, jedna z najważniejszych osobistości.

Jerzy biegał raczej, aniżeli chodził wzdłuż pokładu. Oko jego dziko i niespokojnie błądziło wokoło; mnóstwo ludzi na pokładzie, te liczne czółna, które w części wisiały, w części zaś ułożone były dnem do góry, te kotły wmurowane—wszystko to kazało mu się domyślać, że jest na okręcie płynącym na połów wieloryba—ależ co go obchodził okręt—nic z goła, chyba o tyle tylko, że chciał uciec z niego jak najprędzej.

Byłto w istocie okręt udający się na połów wieloryba, *Betsy-Crow* nazwany, statek dosyć wielki i okazały. Na statkach podobnych nadzwyczaj wiele jest roboty przy wypłynięciu, choćby nawet nie spodziewały się prędkiego połowu. Cieśla musi przejrzeć wszystkie łodzie, czy są w dobrym stanie, wrazie zaś przeciwnym, natychmiast przedsiębrać konieczne naprawy. Bednarz ma obowiązek powoli poustawiać beczki, żeby je każdego czasu mieć w pogotowiu, gdy przybędą na miejsce połowu lub też wcześniej, gdy mi się przypadkiem nawinie ryba. Sternicy muszą zrewidować i wyostrzyć swe haki, tak zwane harpuny, dzidy, topory i noże; do nich również należy przekonać się, czy małe beczki do wody nie przesiąkają i czy do chwilowego użytku są zdatne. Harpunierzy wreszcie, którzy, dopóki nie przybliży się ryba, siedzą na łodzi, winni zbadać, czy małe ich żagle i przybory okrętowe w dobrym są stanie i w ogóle czuwać, aby każdy z ich podwładnych wypełniał swój obowiązek.

Tylko Kapitan zdaje się jedynym próżniakiem na pokładzie. Rzeczywiście też, skoro tylko puści w bieg okręt, z początku nie ma nic do roboty, z wyjątkiem obrachunku w południe, do czego nawet na niektórych okrętach ustanowieni są oddzielni oficerowie.

Kapitan *Rogers* więc, przechadzał się właśnie po swojem wzniesieniu na pokładzie, paląc cygaro, trzymając ręce w kieszeniach obszernej swojej żakiety i kiedy niekiedy spoglądając na żagiel.

Jerzy, bez czapki jeszcze, tak jak wybiegł z kajuty, z dzikiem, zaspanem nieco wejrzeniem, wskoczył na wzniesienie. Przypuszał, że człowiek tam chodzący to pewnie kapitan — szybko przeto przystępując do niego, rzekł strwożonym głosem:

— Kapitanie, proszę pana na miłość boską pozwól mi czemprędzej wysiąść na ląd albo na jeden z okrętów wracających—wskutek zagadkowego nieporozumienia dostałem się na pański okręt.

— Zagadkowego nieporozumienia, mój chłopcze? rzekł Kapitan Rogers, przystanąwszy i zmierzywszy go od stóp do głów, na jakiż okręt chciałeś się dostać?

— Nie jestem wcale żeglarzem, zawołał Jerzy — mój ojciec nazywa się Jerzy Halay, i mieszka w Nowym Jorku.

— Czy tak, zawołał kapitan, uśmiechając się ironicznie, rozumie się, ten bogaty Halay z Broadway.

— Ten sam—jestem jego synem, i na jutro naznaczony jest mój ślub z córką Jamesa Wood.

— Też pewnie tego bogatego Jamesa Wood z Wallstreet.

— Tego samego, pojmujesz pan, że....

— I dla czegóż lepiej nie cesarza francuskiego lub chińskiego *damn it*, mój chłopcze, kiedy już kłamać, to przynajmniej porządnie.

— Ależ, kapitanie, daję panu słowo honoru....

— Ruszaj, na swoje miejsce! krzyknął kapitan szorstko, przez pomyłkę nikt mi się nie dostał na pokład, bo wszystkich ludzi, ciebie zaś w szczególności zauważyłem pomiędzy nimi tej nocy, sprowadził cię do mnie wasz towarzysz z noclegu i został zapłacony za to.

— Zapłacony za to? towarzysz z noclegu? zawołał Jerzy pomięszany. Kapitanie, nic z tego nie rozumiem; ale stało się oszustwo. Jakąkolwiek jednak wydałeś summę, zwrócę ci wszystko—teraz zaś muszę natychmiast wyjść na ląd.

— Najbliższym lądem, jaki zobaczysz, rzekł kapitan z sarkastycznym uśmiechem, będą zapewne wyspy Sandwickie, nastąpi to jednak nie tak prędko. Ruszaj naprzód okrętu, powiedziałem; wysiąść na ląd? śmieszne żądanie....

— Kapitanie! rzekł Jerzy, wśród najokropniejszego wzburzenia, czynię pana odpowiedzialnym za skutki. Pan nie możesz, nie masz pan prawa porywać mnie na morze.

— Myster Howes, rzekł kapitan, zwracając się do jednego z harpunierów, każ pan zaprowadzić tego człowieka na przód okrętu, jeśli się zaś będzie opierał, zakuć go w kajdany. Myślę, że go poskromimy.

— A jeżeli dam panu dowody, kapitanie, zawołał Jerzy w największej rozpaczy, sięgając do bocznej kieszeni; harpunier tymczasem sądząc, że chce wydobyć broń ukrytą, rzucił się na niego. Na znak dany przez kapitana przyskoczyło również dwóch majtków pracujących około jednej z lin masztowych; gdyby nawet Jerzy był teraz się opierał z całą siłą rozpaczy, nie byłby zdołał wyrwać się z żelaznych objęć tych trzech barczystych chłopów. Nieszczęśliwy, w niespełna dziesięć minut, z dybami na rękach, znalazł się w dolnej, dotychczas jeszcze pustej komorze, zwanej *blubber*, to jest w przedziale pomiędzy dwoma pomostami okrętowemi, dokąd po złowieniu wieloryba rzuca się pokrajany *blubber*, czyli sadło rybie, zanim zostanie przetopione i wlane w beczki. Zatrzaśnięto drzwiczki — i Jerzy Halay—wydarty rodzinie, krajowi i narzeczonej, uniesiony z pośród wszystkiego, co człowiek w rojeniach najzuchwalszych nawet wymarzyć sobie może — leżał teraz w kajdanach, wśród ciemności, na twardej ławie przedziału pomostowego—a okręt sunął coraz to dalej i dalej po otwartem, pustem morzu....

(*d. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

Koperty przezroczyste. Dla uniknięcia częstych pomyłek, biuro telegraficzne w Berlinie zaprowadziło przezroczyste koperty. Telegram składa się w ten sposób, że adres można czytać przez kopertę.

Liczne śluby miały się odbyć w ostatnich dniach tak w katolickich jak i ewangelickich kościołach w Poznańskiem. I tak w jednym dniu w samem Poznaniu odbyło się katolickich 80, a w Bydgoszczy 30. Od 1-go października przez 2 tygodnie nie było zupełnie ślubów, taki bowiem czas przepisuje nowe prawo na odbycie zapowiedzi przed ślubami cywilnemi, które obecnie w Prusach zaprowadzają.

Niedziela w Anglii tak uroczyście jest obchodzoną, iż weksel pisany w dzień niedzielny nie ma mocy prawnej, a wydający taki dokument nie może być zmuszonym do dopełnienia swojego zobowiązania.

Języki starożytne, jak pisze „Petersburska Gazeta," mają być wprowadzone do gimnazyów żeńskich, jednak tylko jako przedmioty dowolne, t. j. nieobowiązujące.

Seminarya nauczycielskie dla kobiet.—Gazeta „Moskiewskie Wiadomości," donosi, iż w Ministerium Oświecdnia rozpatrywany jest projekt założenia Seminaryów dla przysposobienia kandydatek na nauczycielki elementarne.

Uniwersytety.— Do wszystkich prawie Uniwersytetów mniej znacznie niż lat poprzednich zgłosiło się kandydatów. Do un. kijowskiego zapisało się tylko 94 studentów, a z tej liczby na sam wydział lekarski 52; do uniw. w Odessie 66 z tych 33 wychowańców seminaryów duchownych; do charkowskiego 113; do warszawskiego tylko 25! Taka mała liczba nowo wstępujących do tutejszego uniwers. da się jednak objaśnić tem, iż nowa ustawa szkolna zaprowadzająca dwuletni kurs w 7-ej klasie gimnazyów, w tym roku poraz pierwszy u nas zastosowaną została.

TREŚĆ NUMERU: **Wspomnienia z Podróży,** K. Wł. Wójcickiego, (d. c.).—**Kołyska,** komedya w 1-ym akcie, wierszem, **Michała Carré i Juliusza Barbier,** przełożył z francuskiego Bronisław Przyrembel, (dokończenie).— **Sztuki piękne.** Malarstwo i Rzeźba, przez K. Z.—**Dzieci Żebraczek,** przez Teofila Tarczę.—**Przeznaczenia,** sceny z życia amerykańskiego, przez Fryderyka Gerstekera, (ciąg dalszy). — **Rozmaitości.**— W odcinku: **U Ogniska.**

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**